

tana polega wyłącznie na tym, że jest on gotów poświęcić prawdę dla przyjaźni.

Lessing, jak wiadomo, miał bardzo nieortodoksyjne poglądy na prawdę. Nie chciał jej przyjąć nawet od Opatrzności, nie pozwalał też jej sobie narzucić – ani przez innych, ani przez własne rozumowanie. Nie ma wątpliwości, co by wybrał, postawiony wobec Platońskiej alternatywy między *doxa* a *aletheia*, mniemaniem a prawdą. Był szczęśliwy, że – jak sam to wyraził w porównaniu – prawdziwy pierścień, o ile kiedykolwiek istniał, zaginął – a to ze względu na nieskończone możliwości mniemań, dzięki którym ludzie mogą ze sobą omawiać świat. Gdyby istniał ów prawdziwy pierścień, nie byłaby potrzebna ani rozmowa, ani przyjaźń, ani człowieczeństwo. Dlatego Lessing tak bardzo był rad ze swej przynależności do plemienia „ograniczonych bogów”, jak czasem nazywał ludzi, dlatego też sądził, że w społeczności ludzkiej ci, „co więcej zadają sobie trudu, by zagęścić niż by rozproszyć chmury”, wcale nie są bardziej szkodliwi od tych, „co chcieliby sposób myślenia wszystkich ludzi wziąć pod swoje jarzmo”²¹. Bardzo niewiele ma to wspólnego z tolerancją w potocznym znaczeniu (sam Lessing nie był bynajmniej człowiekiem szczególnie tolerancyjnym), bardzo wiele za to z talentem do przyjaźni, z otwartością na świat, wreszcie – z autentyczną miłością do człowieka.

Temat „ograniczonych bogów”, ograniczonego ludzkiego umysłu, któremu rozum spekulatywny pokazuje, gdzie jego miejsce, a przez to sam się ponad niego wznosi, stanie się później głównym przedmiotem krytyk Kanta. Ale bez względu na to, jak wiele łączy nastawienie Kanta i Lessinga – a tych zbieżności w istocie jest niemało – w jednym punkcie obaj różnili się zasadniczo. Kant rozumiał, że nie może być dla człowieka prawdy absolutnej, w każdym razie nie w sensie teoretycznym; bez wątpienia byłby też gotów poświęcić prawdę ze względu na możliwość ludzkiej wolności – będąc w posiadaniu prawdy bowiem, nie moglibyśmy być wolni. Zapewne jednak nie zgodziłby się z Lessingiem co do tego, że prawdę, o ile miałyby istnieć, można by bez skrupułów poświęcić na rzecz człowieczeństwa, możliwości przyjaźni i rozmowy między

ludźmi. To, że istnieje u niego pewien rodzaj absolutu, obowiązek imperatywu kategorycznego, któremu ulegają wszyscy ludzie, który rozstrzyga we wszelkich ludzkich sprawach i którego nie wolno naruszyć, również w imię jakkolwiek rozumianego człowieczeństwa – to krytycy etyki Kantowskiej nieraz dostrzegali jako coś nie-ludzkiego i bezwzględne. Jednakże ta nieludzkość nie wynika bynajmniej z tego, że wymóg imperatywu kategorycznego przeraża możliwości zbyt słabej natury człowieka, ale wyłącznie stąd, że jest to wymóg z założenia absolutny, przez swoją absolutność zobowiązujący sferę międzyludzką, która ze swej istoty składa się z odniesień i relacji, do czegoś zasadniczo sprzecznego z jej względnością. Właśnie dlatego, że Kant chciał umocować prawdę w rozumie praktycznym, zawarta w pojęciu jednej prawdy nieludzkość jest u niego szczególnie wyraźna; powstaje wrażenie, jakby on, który w dziedzinie poznania potrafił tak nieubłagane wytknąć człowiekowi jego ograniczenia, nie mógł znieść myśli, że również w działaniu człowiek nigdy nie dorówna Bogu.

Jeśli natomiast chodzi o Lessinga, to cieszyło go właśnie to, co od niepamiętnych czasów, przynajmniej od Parmenidesa i Platona, tak bardzo martwiło filozofów – to mianowicie, że prawda, raz wypowiedziana, natychmiast zmienia się w mniemanie pośród wielu mniemań, jest kwestionowana i formułowana na nowo, staje się przedmiotem rozmowy takim samym, jak każdy inny. Nie tylko zrozumienie, że nie może być w świecie ludzkim jednej prawdy, ale też radość z tego, że jej nie ma, że ta nieskończona międzyludzka rozmowa będzie trwała tak długo, jak długo żyć będą ludzie, jest charakterystyczna dla wielkości Lessinga. Przy ścieraniu się różnych opinii – a w tej dziedzinie ten protoplasta i mistrz wszelkiej polemiki w języku niemieckim czuł się jak u siebie w domu, nieodmiennie przedstawiając mniemania nader wyraziste i dobitnie wypowiedziane – jedna prawda, gdyby w ogóle istniała, musiałaby mieć katastrofalne skutki²².

Trudno nam dzisiaj odtworzyć, na czym, według Lessinga, miał polegać konflikt przeżywany przez Natana, konflikt co prawda dramatyczny, lecz nie tragiczny. Ta trudność po części wynika

z tego, iż stało się dla nas czymś oczywistym, że gdy chodzi o prawdę, zachowujemy się w sposób tolerancyjny, choć postępujemy tak z powodów, które niewiele mają wspólnego z powodami Lessinga. Co prawda od czasu do czasu zdarza się jeszcze, że ktoś postawi pytanie co najmniej w stylu Lessingowskiej przypowieści o trzech pierścieniach – przykładem może być wspaniała aforyzm Kafki: „Trudno jest powiedzieć prawdę, wprawdzie jest tylko jedna, ale jest żywa i dlatego ma żywą i zmienną twarz”²³. Lecz nawet tutaj nie ma już mowy o właściwej politycznej puencie Lessingowskiego konfliktu jako potencjalnego sporu między prawdą a człowieczeństwem. W dodatku trudno już dziś spotkać kogoś, kto uważa, że posiadał prawdę, za to stale jest się konfrontowanym z ludźmi przekonanymi o swojej racji. Różnica jest wyraźna: pytanie o prawdę, przynajmniej w czasach Lessinga, było jeszcze pytaniem filozofii i religii, podczas gdy nasz problem racji powstaje w ramach nauki i za każdym razem jest rozstrzygany przez myślenie orientujące się podług nauki. Całkowicie abstrahuję tu od tego, czy ta zmiana sposobu myślenia ma dla nas skutki zbawienne, czy zgubne. Jest po prostu faktem, że problem racji w sensie naukowym trzyma w napięciu ludzi nawet absolutnie niezdolnych do oceny tego, co w danym argumencie specyficznie naukowe, tak jak jeszcze w XVIII wieku trzymał ludzi w napięciu problem prawdy. Co ciekawe, nie przeszkadza im nawet to, iż naukowcy, w każdym razie dopóki postępują w sposób rzeczywiście naukowy, doskonale zdają sobie sprawę, że ich „prawdy” nigdy nie są ostateczne i że w żywej nauce stale dochodzi do ich radykalnych rewizji.

Mimo różnicy między tymi dwoma mniemaniami – że jest się w posiadaniu prawdy i że ma się rację – oba stanowiska łączy jedno: ich reprezentanci są zwykle tak mało skłonni poświęcić – w razie konfliktu – swój punkt widzenia człowieczeństwu czy przyjaźni, że upatrują w tym naruszenia jakiegoś wyższego obowiązku, obowiązku „rzeczowego” podejścia; jeśli mimo wszystko to robią, to bynajmniej nie dlatego, że tak im każe sumienie, ale wręcz wstydząc się przy tym swojego człowieczeństwa, często też z wyraźnym poczuciem winy. W duchu czasów, w których żyjemy, i obstających

przy swojej racji mniemań, które opanowały nasze myślenie, możemy zmodyfikować Lessingowski konflikt, nie niszcząc jego sedna, a to poprzez wskazanie jego przykładu w okresie dwunastoletniego panowania Trzeciej Rzeszy oraz jej ideologii. Jeśli przez chwilę spróbujemy abstrahować od faktu, że nazistowskiej doktryny rasowej zasadniczo nie można udowodnić, ponieważ jest ona sprzeczna z „naturą” człowieka, i przyjmiemy, że słuszność owych „naukowych” teorii, niebędących zresztą wcale wynalazkiem nazistów, ani nawet wynalazkiem specyficznie niemieckim, została wykazana w sposób nieodparty – trudno bowiem podważać logikę konsekwencji praktyczno-politycznych, jakie naziści wyciągnęli ze swoich doktryn – to czy taki naukowy dowód niższości jakichś ras usprawiedliwiałby ich eliminację? Odpowiedź na to pytanie jest jednak ciągle zbyt prosta, może się bowiem powołać na owo „Nie zabijaj!”, które istotnie stało się najważniejszym przykazaniem, a od zwycięstwa chrześcijaństwa nad starożytnością – podstawą orientacji dla wszelkiej myśli prawnej i moralnej Zachodu. W duchu myślenia nieskrępowanego ani prawem, ani moralnością, ani religią – a właśnie w taki sposób nieskrępowane, „żywe i zmienne” było myślenie Lessinga – pytanie to należałoby postawić następująco: czy taka nieodparcie udowodniona doktryna byłaby w ogóle tego warta, żeby poświęcić jej choćby tylko jedną przyjaźń między dwojgiem ludzi?

Tym samym powróciliśmy do naszego punktu wyjścia – do zdumiewającego braku rzeczowości i „obiektywizmu” w polemikach Lessinga, do jego stale czujnej stronnictwo, która z subiektywizmem nie ma zgoła nic wspólnego, ponieważ nigdy nie myśli o sobie, lecz zawsze w odniesieniu do świata ludzi, ich postaw i mniemań. Odpowiedź na pytanie, które przed chwilą postawiłam, dla Lessinga nie byłaby trudna. Żaden wgląd w istotę islamu, judaizmu czy chrześcijaństwa nie powstrzymałby go przed tym, by wdać się w przyjaźń czy przyjacielską rozmowę z gorliwym muzułmaninem, pobożnym żydem czy wierzącym chrześcijaninem. Wobec doktryny, która przyjaźń między dwojgiem ludzi czyni czymś zasadniczo niemożliwym, nie potrzebowałaby w swym tak pewnym,

lecz zupełnie nieskrępowanym sumieniu żadnych neodpartyh dowodów, żeby ją zdemaskować – również „obiektywnie” – jako doktrynę błędną²⁴. Bez wahania opowiedziałby się za ludźmi, niewiele sobie robiąc z uczonych i nieuczonych dyskusji po obu stronach. Takie było człowieczeństwo Lessinga.

To człowieczeństwo pojawiło się w świecie politycznie zniewolonym, który w dodatku drżał już w posiadach. Również Lessing żył w czasach „mrocznych” i na swój sposób stał się ofiarą ich mroku. Widzieliśmy, jak bardzo ludzie w takich czasach odczuwają potrzebę bycia bliżej siebie, jak ciepłem intymności próbują zastąpić moc rozświetlania, której źródłem może być tylko sfera publiczna. Oznacza to jednak, że unikają sporu i najchętniej mieliby do czynienia tylko z ludźmi, z którymi spór jest niemożliwy. Kомуś takiemu jak Lessing w takich czasach i w tak ciasnym świecie brakowało przestrzeni; ci, którzy skupiali się razem, żeby się wzajemnie ogrzewać swoim ciepłem, odsuwali się od niego. On zaś, natura polemiczna aż do kłótności, równie źle znosił samotność, jak brak dystansu w zacierającym wszelkie różnice braterstwie. Dlatego nigdy nie chodziło mu o to, by rzeczywiście poróżnić się z drugim człowiekiem, z którym akurat wdał się w spór, ale wyłącznie o to, by przez nieustanne, wciąż na nowo podejmowane mówienie o świecie i jego sprawach uczłowieczać nawet to, co nieludzkie. Chciał być przyjacielem wielu ludzi, lecz nie chciał być niczym bratem.

Ta przyjaźń – w świecie, z ludźmi, w sporze i w rozmowie – niestety mu się nie udała i raczej nie mogła się udać w warunkach panujących w jego czasach w krajach niemieckojęzycznych. Człowiek „wart więcej niż wszystkie jego talenty”, którego wielkość „polegała na indywidualności” (Friedrich Schlegel), akurat w Niemczech nigdy nie mógł liczyć na nadmiar zrozumienia, ponieważ takie zrozumienie musiałoby wynikać z polityki w najściślejszym sensie. Lessing, jako człowiek na wskroś polityczny, obstawał przy tym, że prawda może istnieć tylko wtedy, gdy uczłowiecza ją mówienie, gdy każdy mówi – nie to, co mu akurat przyjdzie do głowy, ale to, co właśnie „mu się prawdą zdaje”. Takie mówienie jest

jednak prawie niemożliwe w samotności; jest zdane na przestrzeń, w której istnieje wiele głosów i w której wypowiedanie tego, co „się prawdą zdaje”, jednocześnie łączy i oddala – ba, wręcz stwarza te dystanse między ludźmi, które razem składają się na świat. Wszelka prawda poza tą przestrzenią, czy niosłaby ludziom zbawienie, czy zgubę, jest najdosłowniej nieludzka – nie dlatego, by pod jej wpływem ludzie zwracali się przeciwko sobie i wzajemnie się od siebie oddalali, przeciwnie, raczej dlatego, iż mogłaby sprawić, że nagle wszyscy skupiliby się wokół jednego mniemania, tak że z wielu staliby się jednym, i że tym samym świat, który w swojej różnorodności może powstawać tylko pomiędzy ludźmi, znikłby z powierzchni ziemi²⁵. Dlatego, gdy chodzi o wzajemny stosunek prawdy i człowieczeństwa, najgłębszą mądrość zawiera zdanie Lessinga, które można uznać za kwintesencję i sumę wszystkich jego dzieł. Brzmi ono: „Niech każdy mówi, co mu się prawdą zdaje, a prawdę samą polecajmy Bogu!”²⁶

przełożyła Anna Wołkowicz